

Witold Sokała: Polska w NATO. Si vis pacem, para bellum

Z polskiego punktu widzenia członkostwo w NATO jest najlepszym znanym obecnie sposobem, by nie stać się ofiarą zewnętrznej agresji – pisze Wiktor Sokała w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Co my (w) NATO?”.

Decyduje o tym nie tylko osławiony art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego, mówiący o tym, że hipotetyczny atak na Polskę (i każdy inny kraj członkowski) powinien być przez pozostałych partnerów potraktowany tak samo, jak uderzenie bezpośrednio na nich – a więc jako casus belli. Sceptycy mogą bowiem utrzymywać, że to tylko papierowa gwarancja pomocy, i w pewnym sensie mają rację. Jak świat światem, o efektywnej pomocy nie decydują bowiem same traktaty, lecz realne interesy ich sygnatariuszy.

I tu pojawia się argument na rzecz naszego bezpieczeństwa znacznie mocniejszy, niż zapisy tej czy innej umowy międzynarodowej. Po prostu: analiza zachowań kluczowych państw NATO oraz poglądów ich elit politycznych, artykułowanych na różne sposoby (co istotne, także nieformalnie, a więc częstokroć bardziej szczerze niż w sytuacjach oficjalnych) – wskazują, że istnieje zasadnicza zgoda co do fundamentalnej roli solidarności północnoatlantyckiej w zapewnianiu wspólnego bezpieczeństwa. To bynajmniej nie idealizm, a twardy

pragmatyzm. Żaden z uczestników Sojuszu, pod pewnymi względami nawet Stany Zjednoczone, nie jest w stanie uzyskać samodzielnie tyle zdolności polityczno-wojskowych, co w kooperacji z partnerami.

Oczywiście, to nie oznacza braku sporów czy rozbieżnych interesów w wielu kwestiach. Waszyngton (bez względu na to, kto zasiada w Białym Domu) jest zainteresowany bardziej sprawiedliwym podziałem kosztów. Paryż czy Madryt tradycyjnie zerkają bardziej na południe, a my i nasi sąsiedzi – na wschód. Ale jednocześnie Amerykanie rozumieją, że ekonomiczne interesy ich kraju współzależą też od efektywnej kontroli globalnych szlaków handlowych oraz od autorytetu USA jako gwaranta bezpieczeństwa poszczególnych partnerów na różnych kontynentach. Tego zaś nie da się uzyskać bez takich narzędzi jak NATO czy inne, mniej lub bardziej sformalizowane sojusze.

Dla jasności: niewątpliwie rozumieją to ludzie z tzw. „deep state”, z sił zbrojnych, wywiadu, dyplomacji i think-tanków zawieszonych między polityką a wielkim biznesem. Ale sami politycy raczej też, nawet jeśli podczas kampanii wyborczych udają, że jest inaczej – i opowiadają elektoratowi baśnie o korzyściach z izolacjonizmu. Co zaś do różnic w preferencjach pomniejszych uczestników Paktu, zrozumiałych w kontekście uwarunkowań historycznych i geostrategicznych, warto zauważyć, że nie mają one charakteru absolutnego. Dość spojrzeć na przykład francuski: po dekadach niedoceniaania zagrożenia ze strony Rosji (najłagodniej to nazywając) wystarczyło, by Kreml naruszył dobre samopoczucie Francuzów w ich tradycyjnych strefach wpływów w Lewancie i Afryce Subsaharyjskiej, jednocześnie dość ostentacyjnie działając wbrew francuskim interesom w samej metropolii przy użyciu „broni migracyjnej”, by prezydent Emmanuel Macron stał się jednym z natowskich „jastrzębi” w polityce wschodniej. Dodajmy do tej

układanki, dla pełnego obrazu, jeszcze tak znaczące politycznie, gospodarczo, wojskowo i wywiadowczo kraje jak Wielka Brytania czy Kanada – których akurat do twardej polityki wobec rosyjskich zakusów w Europie przekonywać nie trzeba, co jasno widać chociażby po skali ich zaangażowania we wsparcie walczącej Ukrainy.

Argumentem na rzecz sensowności członkostwa w NATO są też niedawne decyzje Szwecji i Finlandii – krajów, które po dziesięcioleciach uważania neutralności za fundament swego bezpieczeństwa, zarzuciły ją błyskawicznie, gdy w sąsiedztwie zrobiło się naprawdę gorąco. I co ważne, zrobiły to przy ogromnym poparciu opinii publicznej. A niemal jednomyślnie, jeśli brać pod uwagę wskazania środowisk eksperckich oraz stanowiska głównych partii politycznych. Trudno naszym sąsiadów z północy, jednak chłodnych i pragmatycznych, posądzać tu o naiwność. Zadziałała kalkulacja zysków.

Notabene, to ostatnie poszerzenie Paktu zmieniło fundamentalnie sytuację geostrategiczną na jego wschodniej flance. Na niekorzyść Rosji: bo Bałtyk stał się niniejszym niemal „wewnętrznym morzem NATO”, a do pełnej interoperacyjności z całą resztą ostatecznie zbliżają się dwie armie i floty (oraz służby wywiadu i kontrwywiadu) co prawda relatywnie niewielkie, na tle głównych potęg światowych, ale znakomite jakościowo. Plus: silne i nowoczesne gospodarki, także w zakresie zdolności ich przemysłów zbrojeniowych. Obrona Litwy, Łotwy i Estonii zyskała jednocześnie niezbędną „głębnię operacyjną”, a potencjalne bojowe znaczenie enklawy królewieckiej zjechało znacząco w dół.

Wszystko to razem oznacza, że ewentualny zbrojny atak Rosji na którykolwiek z europejskich krajów NATO – przy absolutnej przewadze państw Sojuszu, nie tylko czysto militarnej – byłby ze strony Moskwy czystym szaleństwem. W obronie własnych interesów, a nie z powodów „sentymentalnych” czy formalnych, zapewne zostałyby solidarnie odparty przez cały Pakt. W sytuacji, gdyby jedno z uderzeń miało być wymierzone w Polskę – we własnym interesie lojalnego wsparcia nam i innym sojusznikom musiałyby udzielać nawet Niemcy, ze względów dość oczywistych. Rosja poza upokarzającą klęską wojskową i bezpośrednimi stratami w ludziach, sprzęcie i infrastrukturze musiałaby w konsekwencji liczyć się także z bezprecedensowymi sankcjami natury politycznej czy gospodarczej, raczej dużo dotkliwymi, niż te stosowane aktualnie w związku z agresją przeciwko Ukrainie. Z naszego punktu widzenia – zwiększenie spistości strategicznej NATO oraz zdolności wojskowych, bezpośrednio sprowokowane agresywnymi i przestępczymi działaniami putinowskiej Rosji, przy jej jednoczesnym wyczerpaniu i osłabieniu działaniami wojennymi w Ukrainie, oznacza więc skokowy spadek prawdopodobieństwa agresji zbrojnej ze wschodu oraz (choć zabrzmiało paradoksalnie) – wzrost bezpieczeństwa RP.

Paradoks kolejny: to jednak wcale nie powinno nas demobilizować. Przeciwnie. I to przynajmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze, to że coś „obiektywnie” i w naszych kategoriach racjonalności jest „szaleństwem”, nie oznacza bynajmniej, że Rosja tego nie zrobi. Szaleństwem, w sposób oczywisty prowadzącym do pogorszenia międzynarodowej pozycji i perspektyw rozwojowych Rosji, była już sama, otwarta i pełnoskalowa, agresja przeciwko Ukrainie – a

mimo to Kreml się na nią zdecydował. To był zapewne efekt błędnej oceny sytuacji przez Putina i jego otoczenie (niedoszacowania siły państwa, armii i społeczeństwa ukraińskiego oraz determinacji Zachodu z jednej strony, a przeszacowania własnej potęgi – z drugiej). Dyktatorzy kiepsko uczą się na błędach, a ci przyparciu do muru oraz i tak stojący nad grobem z przyczyn biologicznych – tym bardziej. Nie jest więc wcale wykluczona powtórka. Putin i grono jego najbliższych współpracowników nie mają wiele do stracenia, może się okazać, że postanowią odejść z tego świata „z przytupem”, nawet za (mało dla nich istotną) cenę kolejnych tysięcy trupów, także rosyjskich.

Ewentualny rosyjski atak na europejskich członków NATO może też mieć dodatkowe tło, poza umysłowymi deficytami i aberracjami przywódców. Jeśli bowiem Chiny zdecydują się kiedyś na rozwiązania siłowe wobec Tajwanu czy Filipin, a nie można tego całkowicie wykluczyć, naturalnym scenariuszem wydaje się „zlecenie” Pekinu dla ich rozlicznych wasali, by w różnych częściach świata podejmowali każdą możliwą dywersję, w celu odciążenia części potencjału amerykańskiego i brytyjskiego z pacyficznego teatru działań wojennych. W przypadku Rosji – uzależnionej coraz mocniej politycznie, gospodarczo i wojskowo, a na tym tle zapewne też intensywnie penetrowanej przez Chińczyków agenturalnie – wykonanie takiego polecenia, bez względu na potencjalne straty, jest niestety bardzo realne. A w takiej sytuacji, cały opisany wcześniej „potencjał odstraszający” NATO będzie bez znaczenia. Istotna będzie tylko zdolność i gotowość do natychmiastowej, skutecznej reakcji militarnej.

Ten potencjał też trzeba budować – i musi to robić każdy z członków Paktu oddzielnie, ale też NATO jako optymalna struktura koordynacji i dowodzenia. I to się dzieje. Najciekawsze szczegóły ze zrozumiałych powodów muszą pozostawać tajemnicą, ale dość odnotować z jednej strony generalny wzrost wydatków wojskowych w europejskich krajach Sojuszu (w Polsce oczywiście też) i porządkowanie struktur, a z drugiej zakres i tematykę prowadzonych ostatnio wielkich ćwiczeń, ewidentnie obliczonych na doskonalenie systemu reakcji na wypadek rosyjskiej agresji.

Drugi ważki powód, dla którego nie powinniśmy ulec rozleniwieniu (poza hipotetyczną, może i irracjonalną, ale jednak wciąż mimo to możliwą otwartą agresją Rosji), to fakt, że wojna... właściwie już się u nas toczy. Jest mało spektakularna, ale nie mniej groźna, niż ta tradycyjna, zwana przez specjalistów „kinetyczną”. To walka informacyjna, wykorzystująca elementy starannie planowanej dywersji. Szerokie spektrum działań, od plasowania „twardej” agentury w politycznych ośrodkach decyzyjnych, instytucjach bezpośrednio odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i w biznesie, po „miękką” agenturę wpływu, snującą i upowszechniającą narracje zbieżne z rosyjską propagandą lub szerzej: rosyjskimi interesami długofalowymi, w tym podgrzewające istniejące i tak konflikty wewnętrzne, podważające zaufanie do sojuszników, wybielające Rosję. A po drodze jeszcze możliwe działania z pogranicza „kinetyki”, zwłaszcza celowe sterowanie falami nielegalnych migrantów oraz akty terroru wymierzonego w ludność cywilną lub infrastrukturę krytyczną. Te scenariusze są od lat realizowane lub przygotowywane, na co istnieją dowody – nie tylko w Polsce.

NATO od pewnego czasu dostrzega, że przestrzeń informacyjna stała się jednym z głównych środowisk walki – obok tradycyjnych domen (takich jak ląd, powietrze i morze) oraz obok przestrzeni kosmicznej. Koordynuje więc działania swoich członków także w tym zakresie, w sposób istotny multiplikując efekty, budując efekt pozytywnej synergii, między innymi poprzez procedury pogłębionej współpracy wywiadowczej i kontrwywiadowczej, wymianę informacji i dobrych praktyk reagowania na „miękkie” zagrożenia, rozbudowę i podnoszenie jakości wspólnej infrastruktury w cyberprzestrzeni.

Warto tu odnotować, że istnieje ścisła zależność pomiędzy prawdopodobieństwem otwartej agresji militarnej ze strony Rosji – a intensywnością podejmowanych przez nią działań zwanych asymetrycznymi czy hybrydowymi. I znów, nieco paradoksalnie – im jesteśmy jako NATO bardziej solidarni i silni wojskowo, a więc im bardziej wzrasta dla Kremla koszt uderzenia jawnego i kinetycznego, tym chętniej agresor sięga po narzędzia niejawne, głównie ze sfery walki informacyjnej. A ryzyko i zagrożenie jest tu znaczne, mimo, że przez wielu wciąż lekceważone. Mistrzowie subtelnych ataków zakulisowych (a Rosjanie się do nich bez wątpienia zaliczają, w skali globalnej) są w stanie uzyskać tymi metodami nawet więcej, niż rozjeżdżając czołgami nasze łąki i pola czy bombardując miasta. W skrajnym przypadku: nawet takie zmanipulowanie opinii publicznej miksem strachów i zachęt, że sami sobie zainstalujemy rząd podporządkowany Moskwie. Wtedy nie trzeba będzie na nas napadać. Przesunięcie na zachód rosyjskiej strefy wpływów i zdekomponowanie zachodnich struktur integracyjnych – a to jest przecież ostatecznym celem politycznym Kremla, ktokolwiek by tam nie zasiadał u sterów –

równie dobrze może nastąpić i bez wojskowych fajerwerków. A my ockniemy się w „ruskim mirze”, ze wszystkimi jego dotkliwymi wadami, gdy już będzie zbyt późno.

*Witold Sokała (Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach,
„Dziennik Gazeta Prawna”)*

Fot. Mateusz Słodkowski / FotoNews / Forum

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
